ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. Kwietnia. Ner 16. Roku 1854.

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Feuillet.

OSOBY:

Raoul d'Athol.
Zuzanna, jego żona.
Baron, ojciec Zuzanny.
Jerzy Vernon, kapitan strzelców Winceńskich.
Jeannetta, stara ulubiona służąca Zuzanny.
Lhermite, kamerdyner pana d'Athol.
Kuchmistrz.
Kuchta.

(Rzecz dzieje się na wsi.)

Kulisy.

(Scena w domu dziadka Zuzanny. — Przedsionek eleganckiego pomieszkania: wiele światła, krzewów i kwiatów. Z ganku prowadzą podwójne wschody na ogród, którego główne wnijście jest uiluminowane. Godzina pół do piérwszéj po północy.

Kuchmistrz, Kuchta. *(Używają świeżego powietrza, obadwaj oparci o balustradę ganku.)*

Kuchta.

Więc pan sądzisz Mości Robercie że pan młody lubi przysmaki?

Kuchmistrz, *(brzuchacz olbrzymiej budowy; mina poważna i uczciwa.)*

Ja niemówię żeby lubił przysmaki; ale ci powiadam, że to człowiek który się zna na tém co dobre, i lubi dogodzić swojéj gębie. Zażądał odemnie recepty mego sosu *au sacramento* .. Ja sądzę, że nasza panna będzie z nim szczęśliwa.

Kuchta.

Już-to panna niebardzo patrzy na potrawy.

Kuchmistrz.

Panna, zwyczajnie jak wszystkie kobiéty, jé co jéj dadzą, nieprzebiérając wcale. Pamiętam raz na śniadanie karczochy z papryką i zielone owoce... Otóż-to kobiéty! Ale z tém wszystkiém tracimy dobrą panią.

Kuchta.

I jakżeż pan sądzisz, będzie szczęśliwa?

Kuchmistrz.

Takie moje przekonanie. Najsamprzód rzadko się zdarza ażeby mąż co dobrze jada, nieuszczęśliwił swojéj żony: to sobie miéj za zasadę. A powtóre, o ile znam pana, wnosić mogę z radością, że panna zrobiła wybór jak najszczęśliwszy. Pozwoliłem sobie nawet to powiedziéć saméj, gdy mnie pytała o zdanie.

Kuchta, *(uchylając kapelusza.)*

Jakto? Pytała pana o zdanie?

Kuchmistrz.

Tak jest, była tyle łaskawa. Przed kilkoma dniami przedłożyłem panu Baronowi moją pracę tyczącą się uczty we-

selnéj. Panna szła właśnie na górę gdym wychodził z gabinetu Jegomości. Skłoniłem się jéj. Zarumieniła się; bo-to już taka jest mój przyjacielu, naturalna wstydliwość bobiét: weź piérwszą lepszą, weź ich dwie, weź ich tysiąc... będziesz widział że wszystkie są do siebie podobne: — ni ztąd ni zowąd zaraz się rumienią. — A co! Robercie, odezwała się do mnie, uderzając parasolką o maleńki swój bucik, wielkie rzeczy dzieją się u nas! — Pani możesz być przekonaną, odpowiedziałem, że im poświęcam wszelkie moje starania. Na to podałem jéj spis który miałem w ręku. Uczyniłem to tylko z grzeczności, bo jak ci już powiedziałem, nasza panna, posiadająca zresztą najlepszą edukacyę, nieumiała nigdy rozróżnić trufli od ziemniaka.

Kuchta, (*parskając ze śmiechu.*)

Ha! ha! ha!.. cóż dalej?

Kuchmistrz, (*uśmiechając się.*)

Czegóż się śmiejesz? trudno posiadać wszelkie doskonałości. — Jednak przeglądnęła na pozór z wielką ciekawością mój plan, była nawet tak grzeczna powiedzieć mi oddając: „To będzie wyśmienicie. Robercie, wyśmienicie, godne twéj sztuki!“ — Pani zbyt łaskawa, odrzekłem natychmiast; i przy téj sposobności z jednego w drugie, powiedziałem jéj wkońcu, że według mego zdania zrobiła wybór najszczęśliwszy. Wtedy trzeba ci było wiedzieć jak umykała wschodami na górę, obracając się do mnie co chwila i wołając swoim dźwięcznym głosem: „Dziękuję, Robercie, dziękuję! dziękuję!“ Pan Baron, który uchylił był drzwi od swego gabinetu, zachodził się od śmiechu.

Kuchta.

Już-to prawda, że tak miléj panny trudno znaleźć.

Kuchmistrz.

Chyba dziki człowiek mógłby inaczéj sądzić o niéj. Ale otóż i panna Jeannetta: dowiemy się coś nowego. (*Jeannetta nadchodzi całkiem zadyszana, trzymając swój kapelusz w ręku; rzuca się na jednę z ławek stojących w przedsionku.*) A co? panno, zdaje mi się że trzeba przyrządzić poncz i herbatę.

Jeannetta, (*stara panna i opryskliwa.*)

Tak jest i czokoladę. W pięciu minutach będą powozy już tutaj. (*Kuchmistrz daje znak Kuchcie, który czémprędzéj biegnie na dół.*)

Kuchmistrz.

I gdzieżeś ich panna zostawiła?

Jeannetta.

W zakrystyi. Podpisują jeszcze jakiś rejestr, pan wiesz.

Kuchmistrz.

Więc już powszystkiém?

Jeannetta.

Niewiem czy już powszystkiém, czy jeszcze nie powszystkiém; ale to pewna że burmistrz i ksiądz proboszcz już powiedzieli co mieli powiedzieć.

Kuchmistrz.

Spodziewam się że wszystko poszło jak najlepiéj?

Jeannetta.

Wyśmienicie. — Niema już o czém mówić wiele: więc dajmy temu pokój.

Kuchmistrz.

Coś pannie Jeannecie niezdaje się iść wszystko do smaku?

Jeannetta.

Owszem! dlaczego nie? Pan Baron kontent, panna młoda kontenta, pan młody kontent także — chociaż tego nie widać po nim, — a ja, jestem tak jak pan młody!

Kuchmistrz.

Jakto? pan młody może niepodoba się pannie?

Jeannetta.

Co też pan pleciesz! Czyliż można go widzieć i nielubić? — Alboż nieprzyjeżdża z Paryża? Czy może pan Mości Robercie masz co przeciw temu że on przyjeżdża prosto z Paryża, naprzykład?

Kuchmistrz.

O! bynajmniéj. Zresztą. przyznać trzeba, mężczyzna wcale przystojny!

Jeannetta.

Co to, to prawda. — Lalka wytoczona.

Kuchmistrz.

Może popełnił jaką nieprzyzwoitość podczas ceremonii?

Jeannetta.

Jeszcze czego niestało, nieprzyzwoitość! On, a nieprzyzwoitość! Jeźli tylko jeden fałdzik był pomięty w jego krawacie, to niech mnie wilcy zjedzą!

Kuchmistrz.

A panna młoda jak się zachowała w tak krytyczném położeniu?

Jeannetta.

Biedny aniołek! *(Zaczyna nagle płakać.)* Biedny kochany aniołek. *(Z obu-rzeniem.)* Daj mi pan pokój, to haniebna rzecz iść za mąż, mój poczciwy panie Robercie!

Kuchmistrz.

I dlaczegoż-to?

Jeannetta.

Ba! dlaczego!.. *(Kuchta nadbiega całkiem zmieszany.)*

Kuchta.

Panno Jeannetto, jakiś pan chce z panną mówić.

Jeannetta.

Jakiś pan chce mówić ze mną... o piérwszéj godzinie po północy! chyba oszalał! *(Wstaje; wchodzi mężczyzna w czarnym fraku z białą chustką na szyi; pod pachą ma mały pakiet obwinięty w jedwabną chustkę.)*

Mężczyzna.

Panna Jeannetta?

Jeannetta.

Czém mogę służyć panu?

Mężczyzna.

Czy rzeczywiście mam przyjemność mówić z panną Jeannettą?

Jeannetta.

A z kimże? *(Kuchmistrz i Kuchta oddalają się.)*

Mężczyzna, *(półgłosem. tajemniczo.)*

Nazywam się Lhermite.

Jeannetta.

Cóż więcéj?

Mężczyzna.

Kamerdyner pana Raoul.

Jeanneta.

A! pana młodego? Dobrze!

Lhermite, *(zniżając głos jeszcze więcéj.)*

Pan kazał mi udać się do panny, ażebym się dowiedział, gdzie mam złożyć

(pokazuje na pakiet który ma pod pachą) te małe historye.

Jeannetta.

Jakie małe historye?

Lhermite.

Jego szczotki, pęzel do golenia, słowem co potrzeba do toalety pańskiéj.

Jeannetta.

Pięknie! więc to takiemi rzeczami zajmuje się jego pan w téj chwili?

Lhermite.

Panna pojmuje, jakby mu było przykro niemieć jutro rano wszystkiego, czego potrzebuje i do czego jest przyzwyczajony.

Jeannetta *(z gniewem).*

Ale to oburza, panie Lhermite!

Lhermite.

Jakto? Niepojmuję!

Jeannetta.

Ja panu powiadam że to jest oburzające, i że pan możesz złożyć gdzie się panu podoba, pańskie małe historye! Ja się ich ani dotknę.

Lhermite.

Cóż panna w tém widzisz oburzającego, że pan sobie życzy ogolić się jutro rano?

Jeannetta.

Szkoda żeś pan do tego wszystkiego nieprzyniósł jeszcze nocnego czepka Jegomości! *(Słychać turkot powozów na dziedzińcu.)* No, daj pan już, daj.. cóż robić... Ale to tylko mężczyznom może coś podobnego wpaść na myśl: to hańba! *(Odchodzi.)*

(Wielka wrzawa w ogrodzie. Służba i czeladź ciśnie się ciekawie do przedsionka. Powozy zajeżdżaja przed ganek. — Zuzanna w stroju ślubnym wchodzi na ganek oparta na ramieniu swego dziadka, żwawego, wyświeżonego staruszka.)

Zuzanna.

To tak pięknie! dlaczego ty się nieżenisz, kochany dziaduniu?

Baron.

Właśnie pięćdziesiąt pięć lat temu, że mi się to zdarzyło, moja miła kobiecino.

Zuzanna.

Zapewniam cię kochany dziaduniu że wyglądasz jak róża, i mógłbyś się powtórnie ożenić gdybyś tylko chciał.

Baron.

O! co do tego, moja kochana, bez żadnéj trudności, — dla ciebie przynajmniéj. *(Przechodzą przez podsień, za nimi goście weselni.)*

Panna młoda.

(W ogrodzie. Widok parku angielskiego: zakręty szpalerów, gazony, sadzawki. Gęste krzaki oświecone słabo odblaskiem oddalonego światła. Łagodne i wonne powietrze nocy letniéj).

Zuzanna, *z welonem zarzuconym na głowę, ciągnie za sobą z wolna Jeannettę trzymając ją za rękę).*

Chodź! daléj... jeszcze trochę daléj...

Jeannetta.

Ależ, pannuncio....

Zuzanna.

Pannuncio?.. fe!

Jeannetta.

Ach prawda! — Pani — z tém się nigdy nieoswoję... Ale wielki Boże! cóż tam znowu takiego? Czego pani chcesz odemnie?

Zuzanna *(zatrzymując się).*

Chcę ci się zwierzyć z tajemnicą, Jeannetto: słuchaj! *(Porywa ją z namiętnością za obie ręce.)* Jestem szczęśliwa! *(Całuje ją i płacze.)*

Jeannetta.

Niechaj cię Bóg wysłucha, niewinne dziécię moje, niechaj cię wysłucha!

Zuzanna.

Musiałam wynurzyć się przed tobą! Serce mi pękało... Byłabym umarła, gdybym niemogła powiedziéć komu: Jestem szczęśliwa... bardzo szczęśliwa!

Jeannetta.

Pani moja!...

Zuzanna.

I komuż miałam powiedziéć to, jeżeli nie tobie, Jeannetto?... Wszak ty wiesz że cię kocham?... Inaczéj byłabym niewdzięcznicą. Nie prawdaż? Od blisko dwudziestu lat, czyliż nie jestem wszystkiém dla ciebie? Czyliż cię obchodziło co więcéj na świecie, jak twoja Zuzanna? Tyś we mnie zawsze widziała wszystko! Tyś mnie nosiła na ręku od kolébki aż do ślubnego pokoju... Ty sama jedna podjęłaś się zapełnić tę okropną próżnię, jaką po sobie zostawiła matka moja... Dlatego też kocham ciebie, bądź spokojna! i nikt prócz ciebie nieusłyszał mego piérwszego wyznania miłości, piérwszéj tajemnicy mego szczęścia!

Jeannetta, *(z wzruszeniem).*

Dziecko moje, kochana Zuzanno moja... dzięki ci.. dzięki!

Zuzanna.

I tę tajemnicę, chciałam ci wyjawić tutaj, na tém miejscu, pod temi jaśminami, blizko téj ławki tutaj... Wiesz dlaczego?... Usiądź, może sobie prędzéj przypomniesz... Cóż! przypominasz sobie? — O! ona niepamięta; a jednak rok jeszcze nieminął, mnie się zdaje że to wczoraj było!

Jeannetta.

Zaraz... zaraz, niech sobie przypomnę...

Zuzanna.

Noc zapadała; siedziałam jak teraz, głowa oparta na ręku, a tak byłam roztargniona, że niesłyszałam kiedyś nadeszła. Zadrzałam na głos twój, gdyś przemówiła do mnie. Rzekłaś: już niema rady! Dziecko moje zaczyna mnie unikać!.— Powstałam. Kazałaś mi znowu usiąść przy sobie i rzekłaś: Moja Zuzeto, jeżeli ci serce nakazuje. to trzeba iść za mąż.

Jeannetta, *(śmiejąc się).*

I to panią rozgniewało.

Zuzanna.

Przyznam się, że mnie rozgniewało trochę; ale dziś jeszcze niemogę pojąć, jakeś mogła odgadnąć co się wtedy działo we mnie.

Jeannetta.

Pani żartuje!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZA PÓŹNO.

Komedya w 1 Akcie wierszem.

przez

Ksawerego Godebskiego.

OSOBY:

Podkomorzy.
Pan Wacław.
Alfred, Rotmistrz od Huzarów.
Walenty, lokaj Wacława.
Rejent aktowy.
Hrabina,
Zosia, poufała służebna Hrabiny.

Rzecz się dzieje na wsi w Kowieńskiém, w domu Podkomorzego.

Scena 1.

Salon w domu Podkomorzego, umeblowany ze staroświecka: przez okno w głębi widok na Nadniemeńska okolice. — Po prawéj stronie drzwi do Biblioteki — po lewéj drzwi do pokojów Hrabiny.

Hrabina. — Zosia.

Zosia.

Choćbym też chciała milczyć, nie potrafię dłużéj:
Widocznie nam w tym domu powietrze nie służy:
Humor się nasz odmienił, napadła tęsknota,
Niecierpliwa ciekawość sercem naszém miota,
I jakieś niespokojne myśli nas kłopocą.

Hrabina.

Troszeze się moja Zosiu, łatwo zgadnąć o co.
Przyjechałam tu tydzień zabawić u stryja:
Tydzień dawno upłynął i dzień za dniem mija,
I codzień nowy projekt, lub nowa zabawa —
Wyjazdowi mojemu na przeszkodzie stawa;
A tymczasem pan Wacław, dość nieprzyzwoicie,
Nie wiem z jakich powodów zwleka swe przy-
(bycie:
Stryj go wezwał listownie blizko od miesiąca;
Czeka ciągle — o nowych związkach mi natrąca;
I jakbyśmy już byli sobie przyrzeczeni,
Panem go młodym przy mnie i przy ludziach
(mieni.
Gwałtem chce nas pożenić.

Zosia.

Mając to na celu,
Nie puści nas od siebie, chyba po weselu.

Hrabina.

Być może — los mój przecie chętnie mu po-
(wierzę,
Bo mi sprzyja statecznie i kocha mnie szczerze:
Kiedym niebacznie rękę przyrzekła Hrabiemu,
On wszelkiemi siłami opierał się temu:
Dlaczegoż zdrową jego pogardziłam radą?..
Najczulszą miłość moją odpłacono zdradą.
Zmarnowano mój posag; — a kiedym w żałobie
Uciekła się do stryja; on ujmując sobie,
Równie stały przyjaciel jak opiekun rzadki
Mieniem swojém okupił dóbr moich ostatki.
Nie chcę płocho na nowe narażać się próby;
A jeźli mnie powtórne związać mają śluby,
Ślepo na zdaniu jego polegam w tym względzie,
I kogo on wybierze, ten mi lubym będzie. —

Zosia.

Zamiar bardzo rozsądny — były jednak chwile,
Że pan Rotmistrz....

Hrabina.

Cóż Rotmistrz?

Zosia.

Jeźli się nie mylę,
Pan Rotmistrz kocha panią.

Hrabina.

Tak — jak wszyscy młodzi,
Pokąd wielbiony przedmiot z oka im nie schodzi.

Zosia.

Oh! ten ma lepszą pamięć!

Hrabina.

Wdzięczna nieskończenie;
Ale dlatego moich zamiarów nie zmienię.
Nieszpetny, nieubogi...

Zosia.

Nikt temu nieprzeczy.
Co do mnie, na te wszystkie zalety się godzę:
Szkoda tylko że nadto opóźnia się w drodze.
Jest-to, jak mi mówiono, jeden z owych ludzi,
Co się byle czém troska, lada fraszką trudzi;
A że każdą dnobnostkę rozbiéra najściśléj,
Drugi dawno wykona, nim się on rozmyśli:
Skory do posług, chętny na każde wezwanie,
Zawsze spiesznie wyjedzie, zawsze pózno sta-
(nie;
I w rozlicznych zatrudnień i projektów tłumie
Biorąc się do wszystkiego nic skończyć nie umié.

Hrabina.

Dlatego-to nam pewno Ksiądz Proboszcz do-
(wodził,
Że pan Wacław pod gwiazdą fatalną się rodził.

Zosia.

Jeżeli wieściom ludzkim możemy dać wiarę,
Do blizkiéj swéj sąsiadki wzdychał przez lat
(parę;
A kiedy z trudem upór przełamał niewieści,
Wyjechał gdzieś — ta czeka — gdzie tam, ani
(wieści —
Wraca wreście z pośpiechem, coś w pół roku
(pono,
I znajduje sąsiadkę z innym zaślubioną.
Stracił już przez niedbałość trzy czy cztéry
(spadki:
Niedawno, blizki zgonu brat przyrodny matki
Chciał go widzieć — pan Wacław wyjazdu
(niezwlekał;
Ale wujaszek umarł, nim go się doczekał. —

Hrabina *(śmiejąc się.)*

Szalona!

Zosia.

Ktoś mu z naszéj dowodził młodzieży
Że przyszedł na świat kwadrans później jak
(należy;
Dlatego tak mu w życiu składają się chwile,
Że we wszystkiém o kwadrans pozostaje w tyle,
Wnosił tedy, że człowiek z przeznaczeniem
(takiém
Najwłaściwiéj powinien przezwać się Spóźnia-
(kiem.

Hrabina.

Skończ proszę.

Zosia.

Już skończyłam... Ktoś nadchodzi właśnie...
Gdyby też on?.. tém lepiéj — sama się objaśnie,
Ah! nie — pan Podkomorzy!

Scena 2.

Podkomorzy. — Hrabina. — Zosia.

Podkomorzy.

Już tutaj? tak rano?

Hrabina.

Jużeśmy cały ogród obeszły do koła.

Podkomorzy.

Winszuje — to też jesteś hoża i wesoła:
Że się na wsi nie nudzą, same to widzicie.

Hrabina.

Trudno wieść swobodniejsze i weselsze życie.
Przecież musze do Wilna powracać...

Podkomorzy.

Wiem o tém,
Proces cię twój nie małym obarcza kłopotem,
Ale ja tu ważniejszą sprawę mam na względzie:
Jaśniéj się wytłumaczę jak Wacław przybędzie.
Radbym żeby kto z boku dodał mu ostrogi:
Od ośmiu dni wyjechał...

Zosia.

Pewno szuka drogi;
Przyjedzie jednak... prędzéj czy później.

Podkomorzy.

Tak wnoszę:
Już mnie też niecierpliwić zaczyna potroszę.
Nie pojmnję, jak można spóźniać się w podróży,
Kiedy kto względy pięknéj kobiéty nam wróży:
W jego wieku, dalipan! w cwał leciałbym po nie,
Choćby mi przyszło wszystkie pozajeżdżać
(konie.

Zosia.

W człowieku dawnéj daty pośpiech ten nie
(dziwi,
Lecz dzisiejsi panicze nie tak są skwapliwi,
Nie lubią się utrndzać i moda ich inna:
Najsurowsza skromnisia uprzedzić ich winna.

Podkomorzy.

Temci gorzéj — zwłaszcza...

Zosia.

Zwłaszcza kiedy kto ma
Takie jak Pan zamiary — nam ich myśl wia-
(doma:
Spryt kobiécy zbyt snadno przeziera osłony,
Kiedy się po za niemi kryje narzeczony.

Podkomorzy.

Narzeczony? powiadasz — Czemużby nim nie
(był?
Ojciec jego swój zawód razem ze mną przebył
I pod jedną chorągwią zużywszy wiek męzki,
Jedne dzielił zaszczyty, jedne poniósł klęski,
I ocalił mi życie koło Orzecina.
Wdzięczność moja ku niemu przechodzi na syna.
Pewny jestem, że twoje względy wnet pozyska,
Pokochasz go Celino gdy go poznasz zbliska.
Chłopiec światły, szlachetny, uprzejmy i grze-
(czny,
Filozof pobłażliwy, przyjaciel stateczny;
Datek mierzy uczuciem a rozsądkiem słowo;
Wielbiciel pięknych kunsztów, sądzi o nich
(zdrowo,
Mówią nawet, że wiersze dosyć gładkie pisze,
Ozdobił z wielkim smakiem wiejskie swe za-
(cisze,
Sprowadzając do niego zbiory najciekawsze....
Jedną ma tylko wadę, że się spóźnia zawsze.

Zosia.

Mnie się zdaje że w mężu to najbrzydsza wada.

(słychać turkot powozu.)

Ktoś przyjechał... on pewnie!... poznačbym go
(rada.

(bieży do okna.)

Podkomorzy.

Bogu dzięki! — Pochwalną wytnę mu perorę:
Choć raz przynajmniéj w życiu przybywa nam
(w porę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Weselne obrzędy w Bretanii.

Zwyczaj jest w Bretanii francuzkiéj, że Narzeczona na godzinę przed ślubem zamyka się z swachami i dziewczętami w osobnéj izbie, a pan Młody z swoimi kolegami i Starostą podchodzą pode drzwi, wpraszają się uroczyście i żądają wydania Panny Młodéj.

— Nic z tego! odpowiadają dziewczęta z za drzwi.

Dziewosłęby zaczynają grozić, a kobiéty by się pozbyć lub od napaści oswobodzić, wyprawiają im starą wystrojoną babę; i wychodząc mówi:

— Oto mię masz, oblubienicę twoją, podaj mi rękę kochanku! bierzmy się bierzmy, ażeby późno nie było.

Pan młody odskakuje jak oparzony, koledzy patrzą na marę z osłupieniem, lecz Starosta występuje, i mówi:

— Nic z tego zgrzybiały aniołku, nic z tego! stare czupiradło! Pan Młody nasz, kwiatek z łączki naszéj szuka kogo innego; u ciebie garb za wielki a oczy za małe, włosy posiwiały a nos skobuział. Jego Narzeczona jest podobna róży co się wdzięczy do słońca.

Baba się koniecznie stręczy, lecz wreście po wielu mitręgach musi ustąpić i wraca zkąd przyszła.

Następuje akt drugi. Powtórne proźby, przymówki, odmowy, groźby się ponawiają, i wychodzi z komnaty kobiét dziewczątko małe wystrojone w stążki, w kwiaty jak ślubna panienka, i mówi:

— Masz mię oto jestem!

Co ty? Mylisz się śliweczko rumiana! jabłuszko z białemi pestkami! mylisz się, mówi Starosta grzecznie, poczekaj aż dościgniesz, ktoś i ciebie zerwie, nam dojźrzalszéj potrzeba. I znowu toczy się scena ponęt, przymileń, wywodów i różnych wichrzydeł dramatycznych, aż nakoniec

Nadchodzi akt trzeci: Panna Młoda występuje sama, podaje rękę Narzeczonemu, oboje padają do nóg rodzicom; rodzice błogosławią, całują, napominają i wszyscy we łzach radości lub żalu stawiają się w szeregi i idą do kościoła.

Po ślubie Państwo Młodzi wracając, zastają po drodze zastępy różnego rodzaju. Po ulicach sąsiedzi wynoszą stoły zastawione łakotkami i czém można najlepszém do jedzenia i picia. Przed stołami po bokach stają krewni i przyjaciele, mężczyźni i kobiéty, dziewczęta i chłopcy, i trzymają przeciągniętą w poprzek drogi wstążkę, co nazywają Wrotami, za które ażeby przejść, Nowożeniec okupywać się musi tu dowcipem, tam uprzejmością, ówdzie umizgiem, grzecznością, nawet i groszem gdzie potrzeba, i jak to bywa na świecie. Dopiero przystępuje do stołów zastawionych, wychyla za zdrowie czyje chce i myśli — gdzie nowe sceny dramatyczne — wkońcu rozstępują się wszyscy, a Państwo Młodzi zachodzą do domu ścieżką różami usłaną.

Główny Redaktor M. Szrzeniawa Sartyni. *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*